

LEE
CHILD

OSTATNIA
SPRAWA

Jack
Reacher

1

Pentagon z sześciuset tysiącami metrów kwadratowych powierzchni i dwudziestoma siedmioma kilometrami korytarzy jest największym kompleksem biurowym na świecie. Pracuje w nim trzydzieści tysięcy osób, dla których przewidziano tylko trzy wejścia i wyjścia, a wszystkie prowadzą przez pilnie strzeżone hole wejściowe. Wybrałem wejście południowo-wschodnie, ponieważ znajduje się najbliżej stacji metra i przystanku autobusowego i jest najczęściej używane przez cywilnych pracowników Pentagonu. Zależało mi na znalezieniu się w jak najgęstszym tłumie, najchętniej w długiej, niekończącej się kolumnie, na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy strzelać bez ostrzeżenia. Podczas próby aresztowania dochodzi do różnych nieprzewidzianych sytuacji — czasem przypadkowo, czasem celowo — wolałem więc mieć świadków. Chciałem czuć na sobie czyjeś obiektywne spojrzenie, przynajmniej na początku. Oczywiście pamiętam dokładnie datę: jedenastego marca 1997 roku. Wtedy po raz ostatni wchodziłem tam legalnie jako pracownik firmy, która ten gmach dla siebie zbudowała.

Bardzo dawno temu.

Warto też przypomnieć, że od tego dnia zostało jeszcze dokładnie cztery i pół roku do owego wtorku, który zmienił

świat, tak więc jak wiele spraw przed tą datą także kontrola wchodzących na teren Pentagonu była inna. Podchodzono do niej poważnie, ale bez nadmiernej histerii i moje pojawienie też jej nie wywołało. Przynajmniej z pozoru. Miałem na sobie czyściutki i starannie odprasowany paradny mundur, buty wyczyszczone na glans, na piersi baretki i odznaczenia zebrane przez trzynaście lat służby. Skończyłem trzydzieści sześć lat i byłem wysokim, szczupłym i prostym jak świeca modelowym majorem amerykańskiej żandarmerii wojskowej. Może poza ciut przydługimi włosami i pięciodniowym zarostem na twarzy.

W tamtych czasach za ochronę Pentagonu odpowiadali funkcjonariusze Defense Protective Service i już z czterdziestu metrów dostrzegłem aż dziesięciu z nich w holu, co wydało mi się grubą przesadą i skłoniło do zastanowienia, czy wszyscy reprezentują DPS, czy może niektórzy z nich to nasi w przebraniu, którzy czekają tu na moje przybycie. Do większości takich przebieranek wykorzystuje się u nas chorążych, którym często przychodzi udawać kogoś innego. Potrafią się wcielać w pułkowników, generałów i szeregowców — praktycznie w każdego, bez względu na stopień, i są w tym świetni. Przebranie się w mundur funkcjonariusza DPS i zasadzenie się w tej roli na ofiarę byłoby dla nich czymś dziecinnie prostym. Z trzydziestu metrów wciąż nie byłem pewny. Wojsko to ogromna instytucja i do zasadzki na mnie na pewno użyto by ludzi, których wcześniej nie spotkałem.

Posuwałem się do przodu w tłumie idącym przez dziedziniec ku wejściu do głównego holu — w masie osób obojga płci w mundurach wojskowych, zarówno eleganckich wyjściówkach, jak i w polowych, których wówczas używaliśmy. Było wielu wojskowych po cywilnemu, ubranych w garnitury lub typowe uniformy biurowe, czyli w marynarkę i spodnie, ale także немало cywilów. Każdy miał w ręce teczkę lub walizeczkę albo jakiś pakunek pod pachą. Wszyscy stopniowo zwalniali i zaczęli dreptać niemal w miejscu, w miarę jak szeroka ludzka rzeka

zweźła się najpierw do potoku, potem do pojedynczego lub co najwyżej dwuosobowego strumyczka, pozwalającego precyzyjnie się przez prowadzące do holu drzwi. Zrobiłem to samo i ustawiłem się w pojedynczym rzędzie za kobietą o białych niezniszczonych dłoniach i przed mężczyzną w lekko wyświeconej na łokciach marynarce. Oboje wyglądali na cywilnych pracowników biurowych, czyli dokładnie takich, o jakich mi chodziło: obiektywnych świadków. Zbliżało się południe, na niebie świeciło słońce i w powietrzu czuć było ciepły powiew. Zaczynała się wiosna w Wirginii, sady wiśniowe za rzeką budziły się do życia. Jeszcze trochę, a wszystkie okryją się sławnym kwieciami. Zapewne na biurkach w różnych zakątkach kraju leżały już wykupione bilety lotnicze i aparaty fotograficzne przygotowane na zaplanowaną wycieczkę do stolicy.

Dreptałem do przodu w kolejce. Kawalek dalej funkcjonariusze DPS zajmowali się tym, czym pracownicy ochrony zwykle się zajmują. Czterech miało jakieś specjalne zadanie, dwóch siedziało za recepcyjnym kontuarem, dwóch innych stało przy kołowrotku w drzwiach i sprawdzało służbowe identyfikatory wchodzących. Ostatni dwaj ustawili się za szybą i czujnym wzrokiem lustrowali ludzką cizbę. Czterej pierwsi stali w głębi holu w zbitej gromadce i nic nie robili. Wszyscy byli uzbrojeni.

Najbardziej niepokoiło mnie tych czterech w głębi holu. Niewątpliwie w roku 1997 Departament Obrony zatrudniał zbyt wiele osób w stosunku do ówczesnych potrzeb, ale nawet wtedy widok czterech funkcjonariuszy niemających kompletnie nic do roboty należał do rzadkości. Większość służb przynajmniej dbała o to, aby zbędny personel sprawiał wrażenie bardzo zajętego. Ci czterej wyraźnie nie mieli co robić. Wyciągnąłem szyję, próbując dojrzeć ich buty. Z butów można dużo wywnioskować. Przebieranki tajniaków zwykle nie sięgają butów, zwłaszcza wśród mundurowych. W zasadzie służba w DPS miała charakter policyjny i pełniący ją ludzie w miarę możliwości optowali za policyjnym obuwiem: wygodnymi kamaszami, przystosowanymi

do wielogodzinnego chodzenia i stania. Przebrani chorążowie żandarmerii wojskowej zapewne nosiliby wojskowe buty, a te od policyjnych nieco się różnią.

Jednak nie udało mi się ich dojrzeć. Wewnątrz było zbyt mroczno, a oni stali za daleko.

Kolejka posuwała się różnym tempem z czasów sprzed jedenastego września. Żadnych objawów zniecierpliwienia, żadnych lęków, żadnego zdenerwowania. Pełen spokój. Kobieta przede mną poperfumowała się przed wyjściem i czułem bijący od niej zapach. Całkiem przyjemny. Dwaj za szybą dostrzegli mnie z odległości dziesięciu metrów. Przyjrzeni się kobiecie, potem mnie, zatrzymując wzrok o mgnienie oka za długo i szybko przenosząc go na faceta za mną.

A potem wrócili do mnie i otwarcie zlustrowali mnie od góry do dołu i od lewej do prawej, trzymając na celowniku przez dobre pięć sekund. Kolejka posunęła się do przodu, ja wraz z nią, a ich spojrzenia ponownie przesunęły się za mnie. Nie powiedzieli do siebie ani słowa, nie dali nic po sobie poznać, nie podnieśli alarmu. To mogło oznaczać w najkorzystniejszej wersji, że wcześniej mnie nie widzieli i zwróciłem ich uwagę tylko dlatego, że wyróżniałem się wzrostem i wyglądem. Albo dlatego, że miałem na sobie mundur majora ze złotymi liśćmi dębowymi i baretkami poważnych odznaczeń, w tym Srebrnej Gwiazdy, niczym facet z plakatu reklamującego wstępowanie do wojska, a jednocześnie przydługie włosy i zarost jak u jaskiniowca. Z czystej ciekawości musieli mi się lepiej przyjrzeć. Służba wartownicza potrafi się dłużyć i wszelkie urozmaicenia są mile widziane.

Albo — i to była najmniej korzystna wersja — upewniali się, że oczekiwane przez nich zdarzenie właśnie się realizuje i wszystko przebiega zgodnie z planem. To znaczy, że wcześniej przestudiowali zestaw fotografii i teraz mówili sobie w duchu: dobra, już jest, dokładnie o czasie, więc czekamy jeszcze dwie minuty, aż wejdzie do środka, i wtedy go dopadamy.

Byłem oczekiwany i zjawiłem się o czasie. Umówiłem się na dwunastą z pewnym pułkownikiem w jego gabinecie na drugim piętrze kręgu C i byłem pewny, że nigdy tam nie dotrę. Świadome wchodzenie w sytuację grożącą aresztowaniem może się wydawać przejawem głupoty. Czasami jednak bywa tak, że jeśli człowiek chce się upewnić, czy płyta kuchenna jest gorąca, najlepiej jest jej dotknąć.

• • •

Mężczyzna znajdujący się w kolejce przed kobietą przede mną wszedł do środka, uniósł zawieszony na szyi identyfikator i został przepuszczony. Kobieta zrobiła krok do przodu i zniechęciła, bo właśnie w tym momencie dwaj stojący za szybą funkcjonariusze DPS postanowili przystąpić do akcji. Kobieta pozwoliła im wcisnąć się przed siebie, co naruszyło dotychczasową płynność przesuwania się kolejki. Chwilę potem ruszyła z miejsca, ominęła ich i weszła do środka, oni zaś zwarli szyk i znaleźli się tuż przede mną, tyle że zwróceni do mnie twarzami.

Stanęli obok siebie, blokując wejście i patrząc prosto na mnie. Byłem niemal pewny, że są prawdziwymi funkcjonariuszami DPS. Na nogach mieli policyjne kamasze, mundury były pozaginatane i dopasowane do sylwetek w sposób wskazujący na długotrwałe użytkowanie. Nie byli przebierańcami, którzy wyjęli mundury z szaf i włożyli na siebie po raz pierwszy dziś rano. Przeniosłem wzrok nad nimi i spojrzałem na czterech facetów w środku, którzy nadal stali beczynnymi. Spróbowałem ocenić ich mundury, ale z tej odległości było to trudne.

— Możemy w czymś pomóc, panie majorze? — odezwał się stojący po prawej.

— W czym? — spytałem.

— Dokąd się pan dziś wybiera?

— Muszę wam powiedzieć?

— Ależ skąd, panie majorze. Tyle że moglibyśmy panu pomóc w szybszym dotarciu na miejsce.

Zapewne potajemnym przejściem do małej salki bez okien, pomyślałem. Domyślałem się, że oni też zdają sobie sprawę z obecności cywilnych świadków.

— Nie ma potrzeby, zaczekam na swoją kolej. Zresztą już prawie dochodzę — rzuciłem beztrzesko.

Żaden nie miał na to gotowej odpowiedzi i sytuacja stała się patowa. Amatorzy. Próba aresztowania mnie przy świadkach byłaby głupotą. Mogłem się wyrwać, skoczyć do tyłu i w mgnieniu oka zgubić się w tłumie. Wiedziałem, że nie spróbują strzelać, bo w takim tłumie byłoby za dużo przypadkowych ofiar. Przypominam, że był marzec 1997 roku. Dokładnie jedenastego. Cztery i pół roku przed wprowadzeniem obostrzeń. Zdecydowanie woleli poczekać, aż znajdę się w środku. Wtedy dwaj przy wejściu mogliby zamknąć drzwi i wzięwszy mnie w cztery ognie, doprowadzić do kontuaru recepcji, gdzie zakomunikowano by mi złą wiadomość. Teoretycznie nawet wtedy mógłbym się jeszcze wyrwać i rzucić do wyjścia, ale musiałoby mi to zająć kilka sekund — wystarczająco długo, by stojący beczynnie czterej faceci zdążyli wpakować mi tysiacy kul w plecy.

Gdybym się rzucił do środka, mogliby mnie ostrzelać od przodu. Zresztą pomysł ucieczki do środka gmachu Pentagonu nie wydawał się rozsądny. Przecież to największy kompleks biurowy na świecie z trzydziestoma tysiącami zatrudnionych. Pięć poziomów nad i dwa pod ziemią i dwadzieścia siedem kilometrów korytarzy. Poszczególne kręgi łączy dziesięć promieniście rozchodzących się korytarzy i mówi się, że z każdego punktu do dowolnego miejsca można się dostać w ciągu maksimum siedmiu minut. Zapewne wyliczono to na bazie wojskowego marszu z prędkością sześciu i pół kilometra na godzinę. Gdybym puścił się biegiem, mógłbym dotrzeć do dowolnego miejsca w ciągu około trzech minut. Tylko dokąd? Mógłbym się ukryć w schowku na szczotki i żywiąc się podkradanymi drugimi śniadaniem, przetrwać najwyżej dzień czy dwa. Mógłbym też wziąć zakładników i spróbować negocjować, lecz nie słyszałem, żeby komuś to się powiodło.

Dlatego postanowiłem nic nie robić.

— Życzę udanego dnia, panie majorze — powiedział funkcjonariusz DPS po prawej, po czym jakby nigdy nic wyminął mnie, jego kolega po lewej zrobił to samo. Obaj wolnym krokiem wyszli na dziedziniec, jakby ciesząc się, że mogą zaczerpnąć świeżego powietrza, porozglądać się i zająć kimś innym. Może jednak nie byli tacy głupi. Wykonywali zadanie, realizując wcześniej ustalony plan. Spróbowali zwabić mnie do zamkniętego pomieszczenia, lecz się nie udało. Trudno. Nie ma się czym przejmować. Przewracali w myślach stronicę instrukcji postępowania i przechodzili do planu B: poczekać, aż znajdę się w środku i zamkną się za mną drzwi. Dopiero wtedy uruchomić procedurę zapanowania nad tłumem. Rozproszyć go i rozpędzić na boki, żeby uchronić ludzi przed konsekwencjami ewentualnej strzelaniny w budynku. Zakładałem, że szyby oddzielające dziedziniec od holu są kuloodporne, ale doświadczenie każe wątpić w to, czy cokolwiek, na co Departament Obrony wydaje pieniądze, odpowiada w pełni warunkom określonym w zamówieniu.

Drzwi znajdowały się tuż przede mną i były otwarte. Zaczerpnąłem powietrza i postąpiłem krok do przodu. Czasami bywa tak, że jeśli człowiek chce się upewnić, czy płyta kuchenna jest gorąca, najlepiej jest jej dotknąć.

2

Uperfumowana kobieta o białych dłoniach została przepuszczona i zdążyła się zagłębić w korytarz prowadzący z holu. Na wprost mnie był recepcyjny kontuar z dwoma funkcjonariuszami, po lewej stali dwaj inni, sprawdzający identyfikatory. Ramiona kołowrotka były złożone, a znajdujące się między strażnikami przejście było otwarte. Czterej w głębi holu nadal stali bezczynnie i tylko rzucali na boki czujne spojrzenia. Nie uczestniczyli w akcji, jakby należeli do oddzielnej służby. Wciąż nie mogłem dojrzeć ich butów.

Ponownie zaczerpnąłem powietrza i ruszyłem w stronę kontuaru.

Jak jagnię do rzeźni.

Jeden z recepcjonistów spojrzał na mnie pytająco.

— Słucham.

W jego tonie było zmęczenie i zniechęcenie, a słowa zabrzmiały bardziej jak stwierdzenie niż pytanie. Jakbym go już o coś zapytał, a on odpowiadał. Był młody i wyglądał na dość rozgarniętego. Chyba prawdziwy funkcjonariusz DPS. Chorążowie żandarmerii wojskowej szybko się uczą, ale bez względu na zdolności aktorskie, raczej nie posadzono by ich w recepcji Pentagonu.

Recepcjonista nie spuszczał ze mnie pełnego wyczekiwania wzroku.

— Jestem umówiony na spotkanie o dwunastej — powiedziałem.

— Z kim?

— Z pułkownikiem Frazerem.

Zrobił taką minę, jakby po raz pierwszy słyszał to nazwisko. Ostatecznie to największy biurowiec na świecie, trzydzieści tysięcy zatrudnionych. Wziął do ręki skorowidz grubości książki telefonicznej i przerzucił kilka kartek.

— Czy chodzi o pułkownika Johna Jamesa Frazera z Biura Łączności z Senatem?

— Tak — odparłem.

Czyli: tak, to ja, przyznaję się.

Czterech facetów stojących nieco dalej po lewej przyglądało mi się bez słowa. Żaden nawet nie drgnął. Jak dotąd.

Gość za ladą nie spytał mnie o nazwisko. Może dlatego, że go uprzedzono i pokazano zdjęcia. A może dlatego, że zgodnie z przepisami na klapce prawej kieszeni bluzy miałem regulaminową plakietkę z nazwiskiem, pośrodku, górna krawędź plakietki dokładnie sześćdziesiąt cztery milimetry poniżej szwu.

Z siedmioma literami: REACHER.

Lub równie dobrze dwudziestoma: ARESZTUJCIE MNIE TERAZ.

— Biuro pułkownika Johna Jamesa Frazera znajduje się w trzy C trzysta piętnaście. Wie pan, co to oznacza? — zapytał recepcjonista.

— Tak — odrzekłem. Trzecie piętro, krąg C, korytarz numer trzy, moduł piętnasty. Pentagońska wersja współrzędnych geograficznych, niezbędnych do poruszania się po stu siedemnastu tysiącach metrów kwadratowych powierzchni biurowej.

— Życzę miłego dnia, panie majorze — powiedział recepcjonista i przeniósł wzrok na następnego w kolejce. Przez chwilę stałem nieruchomo. Naprawdę się starają, osiągają perfekcję.

W prawie miarę odpowiedzialności karnej określa łacińska maksyma: *actus non facit reum nisi mens sit rea*. Z grubsza znaczy to: czyn nie musi być karalny, o ile nie popełniasz go świadomie. Występkowi musi towarzyszyć intencja. Chcieli, żebym ujawnił intencje. Czekali, aż minę kołowrotek i zanurzę się w labirynt korytarzy. To by tłumaczyło, dlaczego czterech frajerów czekało po tamtej stronie bramki, a nie po tej. Przekroczenie umownej granicy uwiarygodni całą sprawę. Może są jakieś ograniczenia prawne. Może zasięgnięto rady prawników. Frazer niewątpliwie chciał mi się dobrać do tyłka, jednocześnie chroniąc własny.

Raz jeszcze zaczerpnąłem powietrza i przekroczyłem magiczną linię, uwiarygodniając się w swojej roli. Minałem sprawdzających identyfikatory funkcjonariuszy i przecisnąłem się między złożonymi metalowymi ramionami kołowrotka. Przeszedłem na drugą stronę i zatrzymałem się. Czterech frajerów znalazło się teraz po mojej prawej. Przyjrzałem się ich butom. Regulamin wojskowy jest zdumiewająco nieprecyzyjny w kwestii wojskowego obuwia. Gładkie czarne półbuty na sznurówki w typie oksfordów lub podobnych. Konserwatywne w wyglądzie, bez żadnych ozdóbek, minimum po trzy pary oczek do sznurówek, całkowicie zabudowane czubki, najwyżej pięciocentymetrowe obcasy. Nic więcej w regulaminie nie ma. Ci czterej po prawej stosowali się do regulaminu i nie mieli na nogach policyjnych kamaszy. W przeciwieństwie do dwóch, którzy zostali na dziedzińcu. Wszyscy czterej mieli buty mieszczące się w wojskowym opisie. Wyglansowane, ściągnięte sznurówkami, niektóre już lekko podniszczone. Być może prawdziwi funkcjonariusze DPS, a może nie. Nie byłem w stanie tego ustalić. Jeszcze nie.

Patrzyłem na nich, oni patrzyli na mnie, ale nikt się nie odzywał. Wyminąłem ich, ruszyłem kręgiem E w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i skręciłem w lewo w pierwszy napotkany korytarz promieniowy.

Wszyscy czterej ruszyli w ślad za mną.

Trzymali się jakieś dwadzieścia metrów z tyłu, na tyle blisko, by nie stracić mnie z oczu, i na tyle daleko, żebym nie czuł na karku ich oddechów. Maksimum siedem minut między dowolnymi dwoma punktami budynku. Czułem się jak plaster wędliny w kanapce. Byłem pewny, że w pobliżu 3C315 lub w odległości, na jaką postanowili mnie dopuścić, czeka druga ekipa, ja zaś szedłem prosto na nich. Nie było gdzie uciekać ani gdzie się ukryć. Znalazłem się w kręgu D, po schodach dotarłem na trzecie piętro i właściwie tylko dla hecy zmieniłem kierunek obejścia na zgodny ze wskazówkami zegara. Minałem promieniowy korytarz numer pięć, potem cztery. Po kręgu D kręciło się mnóstwo osób. Umundurowani pracownicy obojga płci ze sterkami teczek w kolorze khaki i pustym wzrokiem maszerowali dziarskim wojskowym krokiem. Było ich tak wielu, że musiałem schodzić im z drogi, wymijać i przepychać się do przodu. Większość obrzucała mnie spojrzeciami. Długie włosy i zarost budziły zdziwienie. Zatrzymałem się przy dystrybutorze, nachyliłem do kranika i łyknąłem wody. Ludzie mijali mnie w milczeniu. Zerknąłem do tyłu i ujrzałem, że moi czterej opiekunowie z DPS gdzieś się zgubili. Specjalnie mnie to nie zdziwiło, bo właściwie mogli sobie darować śledzenie. Wiedzieli, dokąd idę i o której mam dotrzeć do celu.

Wyprostowałem się i ruszyłem w dalszą drogę. Skręciłem w korytarz numer trzy i doszedłem do kręgu C. W powietrzu wisiał lekki zapaszek mundurów, pasty do linoleum i cygar. Powłoka farby na ścianach była gruba i miała urzędową barwę. Rozejrzałem się na boki. Po korytarzu kręciło się kilka osób, lecz nie było grupki czekającej w pobliżu modułu piętnastego. Może czekają na mnie w środku. W końcu byłem pięć minut spóźniony.

Nie skręciłem w C. Trzymając się trójki, dotarłem do B, potem do A, czyli do najbardziej wewnętrzznego kręgu, na którym kończą się wszystkie korytarze promieniowe — lub się zaczynają, zależnie od stopnia i perspektywy patrzącego. Za kręgiem A znaj-

duje się tylko liczący ponad dwadzieścia tysięcy metrów kwadratowych pięciokątny otwarty dziedziniec, niczym dziura w kanciastym obwarzanku. Kiedyś nazywano to Ground Zero, bo wierzono, że Sowieci mają pięć największych i najlepszych wyrzutni raketowych, na stałe wycelowanych w ten punkt. Na wszelki wypadek pięć, gdyby pierwsze cztery zawiodły. Doświadczenie podpowiadało, że również Sowieci nie zawsze dostają dokładnie to, za co płacą.

Odczekałem do piętnaście po dwunastej. Niech lepiej zachodzą w głowę, gdzie się zgubiłem. Może już mnie szukają. Może ci czterej właśnie dostają opieprz za to, że stracili mnie z oczu. Raz jeszcze zaczerpnąłem głęboko powietrza, oderwałem się od ściany i wszedłem w korytarz promieniowy numer trzy. Dotarłem do kręgu B, potem do C, skręciłem i nie zwalniając kroku, ruszyłem w stronę modułu piętnastego.

3

Przed modulem piętnastym nikt na mnie nie czekał. Korytarz, jak okiem sięgnąć w obie strony, był pusty i cichy. Pewnie wszyscy dotarli tam, gdzie mieli dotrzeć, i spotkania umówione na dwunastą trwały.

Drzwi do modułu były otwarte. Zapukałem, by okazać grzeczność, zapowiedzieć się, ostrzec, i wszedłem do środka. Pierwotnie większość biur w Pentagonie mieściła się na tak zwanej otwartej przestrzeni, podzielonej szafami na mniejsze moduły (stąd nazwa), dopiero potem pojawiły się ścianki działowe i powstały obudowane gabinety. Gabinet Frazera oznaczony 3C315 wyglądał dość typowo: kwadratowy pokoik z oknem bez widoku, dywan na podłodze, fotografie na ścianach, metalowe biurko będące obowiązkowym wyposażeniem w Departamencie Obrony, krzesło z poręczami udające fotel i dwa krzesła dla gości bez poręczy, komoda z szufladami oraz dwudrzwiowa szafka na dokumenty.

Poza siedzącym za biurkiem Frazerem w pokoju nie było nikogo. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

— Witaj, Reacher — powiedział.

Zerknąłem w lewo i w prawo. Rzeczywiście poza Frazerem nie było nikogo. Pokój nie miał szafy ani drzwi do prywatnej

toalety. Nie było w ogóle żadnych drzwi. Korytarz za mną pozostawał pusty. W gigantycznym gmachu panowała cisza.

— Zamknij za sobą drzwi — rzekł Frazer.

Zamknąłem drzwi.

— Jak chcesz, to siadaj — dodał.

Usiadłem.

— Spóźniłeś się — dodał.

— Przepraszam — powiedziałem. — Był korek przy wejściu.

Frazer kiwnął głową.

— Dwunasta w tym gmachu to koszmar. Ludzie wychodzą na lunch, przychodzi druga zmiana, wszystko naraz. Pożar w burdelu. Z zasady nie planuję wyjść na dwunastą. Na krok nie ruszam się z miejsca.

Miał około metra siedemdziesięciu pięciu wzrostu i dziewięćdziesięciu kilogramów wagi. Szerokie bary, masywna klatka piersiowa, rumiana twarz, czarne włosy, po czterdziestce. W jego żyłach płynęła duża domieszka krwi szkockiej, przefiltrowanej przez żyzną ziemię stanu Tennessee, skąd pochodził. Jako młody chłopak był w Wietnamie, jako mężczyzna w średnim wieku nad Zatoką. Cały był upstrzony śladami z pola walki, które wyglądały jak wysypka. Był starego typu wojownikiem, ale na szczęście dla siebie poza strzelaniem umiał też się śmiać i rozmawiać. Właśnie dlatego trafił do Biura Łączności z Senatem. Jego wrogami byli teraz faceci trzymający kasę.

— Co masz dla mnie? — spytał.

Nie odpowiedziałem, bo niczego nie miałem. Nie spodziewałem się, że dotrę aż tak daleko.

— Jakies dobre wiadomości, mam nadzieję — dodał.

— Nie mam żadnych wiadomości — odrzekłem.

— Żadnych?

— Żadnych. — Pokręciłem głową.

— Powiedziałeś, że masz dla mnie to nazwisko. Taką wiadomość mi zostawiłeś.

— Nie mam żadnego nazwiska.

— To dlaczego tak powiedziałeś? Po co chciałeś się ze mną zobaczyć?

Zawahałem się.

— Poszedłem na skróty — mruknąłem.

— W jakim sensie?

— Dałem do zrozumienia, że znam to nazwisko. Chciałem zobaczyć, kto zareaguje. Kto wypełźnie spod kamienia, żeby mnie uciszyć.

— I nikt nie wypełził?

— Jak dotąd nie, chociaż dziesięć minut temu myślałem, że coś się dzieje. W holu stało czterech facetów w mundurach DPS, którzy najpierw nic nie robili, ale potem poszli za mną. Pomyślałem, że zamierzają mnie aresztować.

— Gdzie za tobą poszli?

— Kręgiem E aż do korytarza D. Na schodach ich zgubiłem. Frazer znów się uśmiechnął.

— Masz przywidzenia — parsknął. — Wcale ich nie zgubiłeś. Jak mówiłem, o dwunastej przychodzi druga zmiana. Zjeżdżają się metrem, przez chwilę gadają o dupie Maryni i idą do sali odpraw, która mieści się na kręgu B. Wcale nie szli za tobą.

Nie odpowiedziałem.

— Kręcą się grupkami po całym gmachu. Wszyscy kręcą się grupkami. Zdecydowanie za dużo osób tu pracuje. Będą musieli coś z tym zrobić. To nieuniknione. W Kongresie wciąż się o tym mówi, dzień w dzień, od rana do wieczora. Nie możemy nic na to poradzić, ale powinniśmy mieć tego świadomość. Zwłaszcza tacy jak ty.

— Jak ja?

— W wojsku jest mnóstwo majorów. Przypuszczalnie zbyt wielu.

— Pułkowników też jest dużo.

— Ale mniej niż majorów.

Nie odpowiedziałem.

— Chcesz powiedzieć, że byłem na twojej liście podejrzanych, którzy mogą wypełznąć spod kamienia? — zapytał.

Nie byłeś na liście, pomyślałem. Ty byłeś tą listą.

— Byłem? — powtórzył.

— Nie — skłamałem.

Znów się uśmiechnął.

— Trafna odpowiedź. Gdybym chciał się ciebie pozbyć, kazałbym cię zabić na miejscu w Missisipi. Może nawet sam bym się pofatygował.

Milczałem. Przez chwilę mi się przyglądał, jego twarz powoli rozjaśnił uśmiech przechodzący w śmiech. Starał się nad nim zapanować, ale bezskutecznie. Głośny wybuch śmiechu zabrzmiał jak szczeknięcie lub kichnięcie i Frazer aż się odchylił i spojrzał w sufit.

— Co jest? — burknąłem.

Opuścił głowę i spojrzał na mnie.

— Przepraszam — powiedział, wciąż się śmiejąc. — Przypomniałem sobie pewne powiedzonko o facetach, którzy nawet nie zasługują na aresztowanie.

Nie zareagowałem.

— Okropnie wyglądasz. Są tu zakłady fryzjerskie. Mógłbyś z któregoś z nich skorzystać.

— Nie mogę — odrzekłem. — Tak mam wyglądać.

• • •

Pięć dni wcześniej moje włosy były o pięć dni krótsze, ale wciąż na tyle długie, by przyciągać uwagę. Leon Garber, który znów wtedy był moim dowódcą, wezwał mnie do siebie, a ponieważ jego wezwanie zawierało między innymi zdanie: „bez, powtarzam, bez poprawiania wyglądu osobistego”, uznałem, że chce to wykorzystać i od razu mnie opieprzyć, mając przed oczami namacalne dowody niesubordynacji. Rzeczywiście od tego zaczął.

— Przypomnij, który regulamin wojskowy określa wygląd zewnętrzny żołnierza? — zapytał, co z jego strony było draństwem.

Garber był bez wątpienia najbardziej niedbającym o wygląd oficerem, jakiego w życiu spotkałem. Należał do tych, którzy mogą wyfasować nowy paradny mundur i po godzinie wyglądać w nim tak, jakby wzięli udział w dwóch wojnach, przesпали w nim noce i uczestniczyli w trzech barowych mordobiciach.

— Nie pamiętam, który regulamin wojskowy określa wygląd zewnętrzny żołnierza — odparłem.

— Ani ja. Bez względu na to który, kwestię długości włosów i paznokci omówiono w rozdziale pierwszym, w paragrafie ósmym, o ile dobrze pamiętam. Mam to tak dokładnie przed oczami, że mógłbym ci odczytać. Przypominasz sobie, co tam jest napisane?

— Nie.

— Jest tam napisane, że dla zapewnienia jednorodnego wyglądu służb mundurowych niezbędne jest przestrzeganie norm długości włosów.

— Jasne.

— Opisano też te normy. Wiesz, co one mówią?

— Byłem bardzo zajęty. Dopiero co wróciłem z Korei.

— Słyszałem, że z Japonii.

— Zatrzymałem się w Japonii w drodze powrotnej.

— Na jak długo?

— Na dwanaście godzin.

— W Japonii są fryzjerzy?

— Jestem pewny, że tak.

— Czy przystrzyżenie włosów przez japońskiego fryzjera trwa dłużej niż dwanaście godzin?

— Jestem pewny, że nie.

— W rozdziale pierwszym, paragraf ósmy, punkt drugi jest powiedziane, że włosy na czubku głowy muszą być równo przystrzyżone, a długość i obfitość owłosienia nie może być nadmierna i nadawać głowie wyglądu niechlujnego, zaniedbanego czy ekstrawaganckiego. Fryzura ma mieć kształt wymodelowany.

— Nie bardzo wiem, co to znaczy — wtrąciłem.

— Kształt wymodelowany oznacza fryzurę, której zewnętrzny obrys odpowiada kształtowi czaszki żołnierza i która w dolnej części karku zanika w sposób naturalny.

— Zajmę się tym — oświadczyłem.

— I żebyś mnie dobrze zrozumiał: to są wymogi, nie sugestie.

— Jasne — powiedziałem.

— Punkt drugi mówi też o tym, że po szesaniu włosy nie mogą zakrywać uszu ani brwi, nie mogą też stykać się z kołnierzykiem.

— Jasne — powtórzyłem.

— Czy swojej fryzury nie nazwałbyś niechlujną, zaniedbaną i ekstrawagancką?

— W porównaniu z czym?

— A jak wygląda u ciebie sprawa uszu, brwi i kołnierzyka po szesaniu?

— Zajmę się tym.

Garber się uśmiechnął i ton rozmowy uległ radykalnej zmianie.

— A w ogóle, to jak szybko włosy ci rosną? — spytał.

— Nie wiem — odrzekłem. — Myślę, że w zwykłym tempie, jak każdemu. A bo co?

— Bo mamy pewien problem na południu, w stanie Missisipi.